

Najbardziej
rozpoznawalni jasnowidze
w Polsce to po prostu przedsiębiorcy,
którym policjanci nieświadomie pomagają
w prowadzeniu działalności

str. 6-7

Jasnowidzenie. Usługi dla ludności

Autor, autor!

Egzamin czasami pozwala profesorowi dowiedzieć się czegoś więcej z dziedziny, którą uprawia. Dlatego w tym felietonie postanowiłem zebrać niektóre złote myśli studentów, które są na tyle wyjątkowe, że warto, by inni je poznali

Dzisiaj trochę lżejszy temat, bardziej związany z primaaprilisową atmosferą, choć ze względu na cykl publikacji felietonów tekst trochę spóźniony. Chciałbym poświęcić nieco uwagi egzaminom dla studentów, póki jeszcze są (egzaminy). Boję się, że wraz z „nowoczesnością” studiowania zniknie jakakolwiek forma sprawdzania wiadomości, a w formie ustnej, to już w ogóle! A właśnie ta postać, którą preferuję, daje możliwość kontaktu ze studentem, zrozumienia (lub nie) jego intencji, wsłuchania się w język polski, którym operuje (choć nie zawsze) itp. Stąd często zadaję pytanie dodatkowe: kto napisał fragment: „chodzi mi o to, aby język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa”. Najczęstsza odpowiedź to: Mikołaj Rej lub Jan Kochanowski, a nie Juliusz Słowacki. O utwór, w którym fraza ta się znajduje, po Rejach i Kochanowskich, już nie pytam, bo o „Beniowskim” pewnie nie słyszeli. Ale za Kochanowskim ciągnie się marzenie „by rozum był przy młodości” (to „Odprawa posłów greckich”).

Egzamin czasami pozwala też profesorowi dowiedzieć się czegoś więcej z dziedziny, którą uprawia. Dlatego w tym felietonie postanowiłem zebrać niektóre złote myśli studentów, które są na tyle wyjątkowe, że warto, by inni je poznali. Nie tylko zamknięci w gabinecie w czasie egzaminu studenci i profesor.

Zacznę od pierwszej odpowiedzi na pytanie dotyczące teorii organów. Gdy usłyszałem słowa: „Jeżeli u osoby prawnej następuje zanik organu...”, dostrzegłem głębię tego stwierdzenia. Przypomniał mi się Otto von Guericke, który przyjął, że organ jest równoznaczny z pojęciem narządu ruchu, mowy itp. (a może czegoś innego?) u człowieka. Ta antropomorfizacja charakteryzująca teorię organów Guerickego stała mi przed oczami, gdy usłyszałem o zaniku organu. Ale czy jest większa różnica między organem kadłubowym, brakiem organu a zanikającym organem? Choć działaniu osoby prawnej bez organu lub z organem kadłubowym poświęcono naprawdę wiele orzeczeń Sądu Najwyższego, m.in. wyroki z 5 listopada 2010 r. (sygn. akt I CSK 63/10), z 18 września 2015 r. (sygn. akt I CSK 737/14), z 20 lutego 1987 r. (sygn. akt I PR 1/87).

Z problematyką osoby prawnej wiąże się inna wypowiedź: „osoba prawna wykonuje prawa organu”. Tu też nie można się tylko uśmiechnąć, trzeba docenić poważną wiedzę studenta. Bo choć zdanie to jest z gruntu fałszywe, to jednak zgodnie z ustawą z 27 maja 2004 r. o funduszach inwestycyjnych i zarządzaniu alternatywnymi funduszami inwestycyjnymi (Dz.U. z 2004 r. nr 146 poz. 1546) towarzystwa funduszy inwestycyjnych mające osobowość prawną są ich organami. I w tym przypadku zdanie błędne staje się prawdziwe. Jednak wyjątków nie należy interpretować rozszerzająco, czy też wyjątek powinien być interpretowany ściśle (exceptio est strictissima interpretationis).

Poza problematyką organów również prokura dostarcza egzaminacyjnych uśmiechów. Choć studentów w pomyślach na prokurę przebił ustawodawca, wprowadzając prokurę mieszaną (niewłaściwą – art. 109⁴ par 1¹ kodeksu cywilnego). Od tego momentu jestem absolutnie tolerancyjny dla radosnej twórczości studentów, bo przecież oni w ten sposób nie szkodzą, w przeciwieństwie do ustawodawcy. Studenci dosyć twórczo traktują zarówno udzielenie prokury, jak i jej typy. „Prokura jest narzucana sądownie” – tego zdania niestety, w odróżnieniu od cytowanych powyżej, obronić się nie da.



FOT. BILKAYOK/SHUTTERSTOCK

Ale że „prokurent nie może udzielić podprokury” to już tak, wszak prokurent nie może udzielić dalszej prokury (art. 109⁶ zd. 1 kodeksu spółek handlowych). Natomiast problemem może być wyjaśnienie istoty prokury łącznej. Zacytuję dwie odpowiedzi. Zdaniem jednego ze studentów „prokura łączna występuje, gdy ten sam prokurent występuje w dwóch różnych przedsiębiorstwach”. I tu trzeba dostrzec głębię prezentowanej myśli, bo przecież została poruszona kwestia może nie tyle prokury łącznej, ile dokonywania tzw. czynności prawnych z samym sobą, co wymaga uznania. Zdaniem drugiego studenta „prokura łączna polega na wzajemnym informowaniu się prokurentów o podjętych przez nich czynnościach”. Choć nie o to chodzi w prokurze łącznej, to również tu należy docenić troskę o jakość oświadczeń woli przedsiębiorcy, czemu ma służyć informowanie się.

Prokura okazuje się również ciekawa z punktu widzenia jej typów. Poza tymi, które już znamy, wyróżniono prokurę główną. Otóż „prokurent główny to taki prokurent, który sprawuje nadzór prokurencki”.

W praktyce, ale również w orzecznictwie sądowym pojawia się problem wyjaśnienia, czym są czynności przekraczające zwykły zarząd i czynności zwykłe. W pewnym sensie również problematyczne może być wyjaśnienie „większego rozmiaru działalności”. Ale tu student poradził sobie dobrze, twierdząc, że „przedsiębiorca w większym rozmiarze to ten, który ma większe doświadczenie w prowadzeniu działalności gospodarczej”. Nie bardzo wiadomo, od czego większe, ale na pewno chodzi o duże doświadczenie.

Bardzo wiele pytań zadawanych studentom świadczy o nieprzygotowaniu profesora do roli, w jakiej występuje. No bo przecież pytanie: „co to jest wolny zawód?” w ogóle nie powinno paść, bo jego słabość student obnaża swoją odpowiedzią: „wolny zawód to taki, który jest wolny”. Absolutnie tak. Nie do końca jednak student ma rację, umiejscawiając rejestry wolnych zawodów w Krajowym Rejestrze Sądowym i twierdząc, że „rejestr wolnych zawodów znajduje się w II części KRS”.

Wspomniane wyżej nieprzygotowanie egzaminatora do swojej roli obnażone zostało też w wielu innych przypadkach uzyskanych od studentów odpowiedzi. Na pytanie: „co to jest kapitał zakładowy?”, usłyszałem odpowiedź: „kapitał zakładowy to kapitał wnoszony do zakładu”. Należy docenić pewną logikę powyższej odpowiedzi, ale już nie można zgodzić się z tym, że ktoś „wnosi kapitał zakładowy do spółki”. Zresztą jest to dosyć powszechny błąd potwierdzający niezrozumienie istoty kapitału zakładowego i wkładów wnoszonych na jego pokrycie. To może dlatego od lat spotykamy się z tak dużą niechęcią do kapitału zakładowego, prowadzącą aż do koncepcji, by go zlikwidować. W tym kontekście definicja akcji

rozumianej jako papier wartościowy wnoszony do spółki każe również docenić u studenta wiedzę o zdolności aportowej akcji. No ale definicja jest błędna.

Nie można nie dostrzec pewnej logiki w stwierdzeniu, że „w przypadku śmierci wspólnik występuje ze spółki”. No bo co, pozostaje w niej? No nie, ale też nie można postawić znaku równości między swego rodzaju czynnościami inter vivos i mortis causa.

Innym razem poczułem się pobudzony do czujności, gdy usłyszałem „w spółce z o.o. jedynym organem jest zarząd”. W pierwszym momencie miałem wrażenie, że pomyłono spółkę z o.o. z fundacją. Życzliwość nakazuje jednak dostrzec w takiej odpowiedzi zapowiedź wprowadzenia systemu monistycznego, w którym – mimo nazwy – występują jednak dwa organy: rada administrująca i walne zgromadzenie.

Gdy chcę się dowiedzieć, w jaki sposób tworzy się spółdzielnię, i słyszę odpowiedź: „poprzez zawarcie umowy i podpisanie statutu”, czuję się bezradny. Nawet wytężając mózg, nie daję rady uzasadnić złej odpowiedzi. Chyba że pomyłono spółdzielnię ze spółką akcyjną, gdzie możemy przyjąć szerokie rozumienie „zawarcia umowy”, w tym podpisanie statutu, uzupełnione jednak objęciem akcji. Ale nie przypominam sobie żadnej spółdzielni, gdzie zawiera się umowę i podpisuje statut.

Nie tylko problematyka przedsiębiorców nadaje się do humoru z zeszytów (był taki w „Przekroju”). Również umowy handlowe przynoszą dużo uśmiechu. Bo czy nie jest choćby częściowo prawdą, że „jedną ze stron umowy przewozu jest podróżnik”? Czy przy umowie przewozu osób (art. 776 k.c.) jest aż tak wielka różnica między podróżnym a podróżnikiem? Przecież ten ostatni może być również podróżnym. A właściwie, jak podróżować, nie będąc podróżnikiem? Chyba tylko pieszko.

Ustalenie terminu wygaśnięcia rękojmi przy umowach, w których ona występuje, wymaga wiedzy. Ale można sobie darować szczegółowe ustalenia, gdy stwierdza się, że „odpowiedzialność z tytułu rękojmi wygasa po upływie odpowiedniego terminu”. Zdanie to jest absolutnie prawdziwe.

Mógłbym odnosić się do jeszcze wielu ciekawych wypowiedzi, ale gdzieś trzeba zakończyć, bo inwencja studentów nie ma granic. Trzeba też pamiętać, że błędne odpowiedzi, np. na pytanie „co to jest firma?”, które wiążą ją z określeniem podmiotu („firma zawiera umowę z inną firmą”), a nie nazwą (art. 43⁵ k.c.) lub imieniem i nazwiskiem w przypadku osoby fizycznej (art. 43⁴ k.c.), nie powinny być „karane”. Bo skoro ustawodawca wielokrotnie już, nie tylko w cytowanej ustawie o funduszach inwestycyjnych i zarządzaniu alternatywnymi funduszami inwestycyjnymi, pisze o firmie inwestycyjnej w znaczeniu podmiotowym, to o co można mieć pretensje do studenta?



FOT. MACIEJBY PASOWE

PROF. ZW. DR. HAB.
ANDRZEJ KIDYBA

Katedra Prawa
Gospodarczego i Handlowego
na UMCS w Lublinie

Dzień świstaka w Sejmie

Znając historię demontażu Trybunału Konstytucyjnego, z łatwością można wskazać moment, w którym **posłowie stracą zainteresowanie** grzebaniem w ustawach dotyczących wymiaru sprawiedliwości. Będzie to dzień odejścia z Sądu Najwyższego Małgorzaty Gersdorf

Małgorzata Kryszkiewicz

malgorzata.kryszkiewicz@infor.pl



Obsuwając zeszytowaną galopadę w Sejmie (mającą na celu dokonanie kolejnych zmian w ustawach o Sądzie Najwyższym i Krajowej Radzie Sądownictwa), czułam się niczym bohater znanego filmu „Dzień świstaka”. Widząc, jak posłowie składają kolejne poprawki do dopiero co uchwalonej noweli, a także poprawki do poprawek mające „poprawić” uchwaloną zaledwie kilka miesięcy temu nową ustawę o SN, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że już to kiedyś przeżyłam. Nawet pora – późne godziny wieczorne – była podobna. Powtórzyła się również obsada przedstawienia – ci sami posłowie opozycji krzyczący po raz kolejny o końcu niezależnego wymiaru sprawiedliwości i oczywiście Stanisław Piotrowicz w roli przewodniczącego komisji, który zawsze wie, kiedy jest najlepszy moment, aby wyłączyć mikrofon. Zmieniło się tylko jedno – wróg, przeciwko któremu wytoczono najcięższe działa legislacyjne i którego unicestwieniu poświęcono tyle sił i środków.

Osoby, które bacznie śledziły to, co się działo w Sejmie pod koniec 2015 r. i przez niemal cały 2016 r., pewnie miały podobne odczucia. Wówczas bowiem byliśmy świadkami łudząco podobnej akcji. Wówczas również składano projekt za projektem, na złamanie karku wprowadzano poprawki do poprawek, aby zablokować TK możliwość dokonania oceny poprzednio uchwalonych ustaw i umieścić w tym organie trzech nadprogramowych sędziów, dziś pieszczotliwie nazywanych dublerami. Dzięki tym zabiegom PiS uzyskał przewagę w TK dużo wcześniej, niż chciał tego ustrojodawca. Legislacyjna gorączka, o której piszę, zakończyła się pod koniec grudnia 2016 r., czyli niemal dokładnie wtedy, gdy z trybunału odszedł ówczesny naczelny wróg rządzących, czyli stojący na jego czele Andrzej Rzepliński.

Teraz zapewne będzie podobnie i zapal posłów do uchwalania kolejnych noweli nowelizujących nowe dotyczące SN zacznie opadać gdzieś w okolicach lipca. Trzeciego dnia tego miesiąca zakończy się trzymiesięczny ustawowy okres, w jakim sędziowie SN mogą orzekać, mimo że osiągnęli 65. rok życia. A skutkiem będzie wygaśnięcie kadencji I prezes SN. Innymi słowy: koniec z rządami prof. Małgorzaty Gersdorf. Można więc zakładać, że od tego momentu w kwestii SN zapadnie okres względnej ciszy. Przynajmniej w parlamencie. Ustawodawca nagle uzna, że obowiązujące w tej kwestii przepisy są świetnie napisane, że nie ma już potrzeby ich poprawiania i należy je stosować bez mrugnienia powieką.

Wniosek ten nasuwa się sam, gdy przyjrzymy się pod kątem merytorycznym zeszytowanym decyzjom Sejmu. Niemał wszystkie zmierzały tylko do tego, aby na te dwa i pół miesiąca, które jej zostały, związać prof. Gersdorf ręce. I projektodawcy nawet się z tym nie kryli. Otwarcie mówili m.in. o tym, że zmiany są po to, aby uniemożliwić obecnemu zgromadzeniu ogólnemu sędziów SN wybór kandydatów na I prezesa SN. W tym celu wprowadzili przecież przepis, który stanowi, że gdyby prof. Gersdorf dobrowolnie lub z powodów zdrowotnych odeszła, z takim wyborem trzeba poczekać do momentu, aż w SN zasiądzie 110 sędziów. Obecnie natomiast jest ich niecała setka.

W zeszytowanym tygodniu gra toczyła się jednak nie tylko o Sąd Najwyższy. Aż do piątku w puli był także inny ważny organ wymiaru sprawiedliwości, a mianowicie Krajowa Rada Sądownictwa. Do tego dnia bowiem nie było wiadomo, czy będzie ona mogła ruszyć z pracami. Wszystko dlatego, że przepisy stanowią, że gdy KRS nie ma przewodniczącego, pierwsze jej posiedzenie zwołuje właśnie I prezes SN. No i do niedawna szefowa SN się z tym nie kwapiła. Coś się jednak zmieniło: w piątkowe popołudnie prof. Gersdorf postanowiła popuścić senatorom zabawę i niespodziewanie ogłosiła, że zwołuje posiedzenie rady na 27 kwietnia. Senat miał właśnie zacząć prace nad przygotowanym przez posłów rozwiązaniem, zgodnie z którym, gdyby szef SN nie zwołał posiedzenia w celu wyboru przewodniczącego KRS, uprawnienie to miało przechodzić na sędziego lub sędziogę w stanie spoczynku, który jest najstarszym członkiem KRS. Gdyby i to okazało się niemożliwe, to obowiązek ten miał spocząć kolejno na najstarszych wiekiem członkach rady będących sędziami lub sędziogami w stanie spoczynku, aż do momentu jego realizacji. Gdy się czytało te propozycje posłów, nie można się było oprzeć wrażeniu, że były one pisane pod konkretną osobę, a mianowicie Wiesława Johanna, który nie dość, że jest obecnie najstarszym wiekiem sędzią w radzie, to jeszcze jest w stanie spoczynku. I znów nasuwa się analogia do TK. Pod koniec 2016 r. Sejm przyjął bowiem zmianę, na mocy której obradom Zgromadzenia Ogólnego Sędziów TK zwołanym w celu wyłonienia kandydatów na nowego prezesa przewodniczyć miał sędzia najmłodszy stażem. To była zmiana o 180 stopni, gdyż poprzednia ustawa stanowiła, że funkcja przypadała sędziemu najstarszemu wiekiem uczestniczącemu w zgromadzeniu ogólnym. Zmiana oznaczała więc, że obrady prowadzić miał nie Stanisław Rymar, zaliczany do tzw. starych sędziów TK, lecz wybrany przez obecny Sejm prof. Zbigniew Jędrzejewski, który kadencję zaczął zaledwie kilka miesięcy wcześniej. To była bardzo



Profesor Małgorzacie Gersdorf zostało jeszcze 2,5 miesiąca na stanowisku prezesa SN

istotna decyzja parlamentu, gdyż właśnie w gestii przewodniczącego leży np. decyzja o przerwaniu obrad zgromadzenia.

Wróćmy jednak do wątku SN. Piątkowa decyzja prof. Gersdorf z pewnością była szokiem także, a może przede wszystkim, dla środowiska sędziowskiego. Podkreślano, że w ten sposób dochodzi do legitymizowania organu, który zdaniem wielu ekspertów został obsadzony niezgodnie z ustawą zasadniczą. I to nawet jeżeli sama I prezes SN twierdzi inaczej.

Do tego argumentu warto dorzucić jeszcze jeden. Otóż w krajach, w których istnieje trójpodział władz, nie wszystko jest zapisane w prawie wprost. Istnieje jeszcze coś takiego jak mechanizm check and balance. I choć próżno szukać o nim przepisów w jakimkolwiek akcie prawnym, to jest on głęboko zakorzeniony w wielu ustawach. Dowodem niech będzie właśnie rozwiązanie z ustawy o KRS, zgodnie z którym w sytuacjach kryzysowych, gdy rada zostaje bez swego pasterza, to właśnie nie kto inny niż I prezes SN zwołuje posiedzenie w celu wyboru nowego przewodniczącego. Dzięki temu istnieje zabezpieczenie, że żaden inny organ władzy ustawodawczej i wykonawczej nie będzie mieć wpływu na dobór szefa organu, który ma strzec niezależne sądownictwo przed zapędami tychże władz. Cóż, prof. Gersdorf najwyraźniej jednak postanowiła nie skorzystać ze swoich możliwości i nie pokazać nam, jak w praktyce działa mechanizm check and balance. Zresztą wszystko to i tak zdaje się zbędną dygresją w kraju, w którym członków KRS wybierają politycy. A skoro mowa o radzie, Organ ten ma teraz dla polityków PiS kluczowe zna-

czenie. Bez niego bowiem nie da się obsadzić SN nowymi sędziami. Nie ruszyłyby również dwie nowe izby – dyscyplinarne oraz kontroli nadzwyczajnej i spraw publicznych. Pośpiech posłów przestaje dziwić. Z podobnym mieliśmy zresztą do czynienia pod koniec kadencji poprzedniej ekipy rządzącej. Oni również na chybcika, stosując niezbyt udany legislacyjny fortel, próbowali dorzucić do TK dwóch nadprogramowych sędziów. Nie udało się i koalicja PO-PSL musiała za to słono zapłacić. Co więcej, dała paliwo obecnym rządzącym do „reformowania” trybunału. Ta sytuacja oraz to, co dzieje się obecnie w Sejmie, pokazuje, że progiem, o który prędeż czy później potknie się każda ekipa rządząca starająca się urzeczywistnić swą wolę, nie bacząc na żadne reguły i zasady, jest konstytucja. Odbicie zawarty w niej reguł znajdujemy w niemal wszystkich aktach prawnych, a szczególnie widoczne są one w tych ustawach, które regulują kwestie ustrojowe. Tak więc nawet jeżeli politycy odniosą doraźny sukces, uchylając czy zmieniając jakieś pojedyncze przepisy, a nawet całe ustawy dotyczące wymiaru sprawiedliwości, aby zyskać większą nad nim władzę, zza rogu wychynie kolejna regulacja, która ma na celu zagwarantowanie trójpodziału władz i tym samym stanie rządzącym na drodze. PiS – w przeciwieństwie do swoich poprzedników – odrobił jednak lekcje. Zrozumiał, że wyjścia z tej patowej sytuacji są dwa: albo zmienić konstytucję, albo dokonać wymiany kadry na taką, która tej konstytucji nie widzi lub patrzy na nią przez palce. I, z czystego pragmatyzmu, wybrał to drugie.

Od klinik prawa do

Żyjemy w czasach, kiedy zaskakiwani pomysłami rządzących prawnicy nie mają wielu powodów do radości. Tym razem jest inaczej. Możemy z czystym sumieniem świętować 20-lecie klinik prawa w Polsce

Miesiąc temu pisałem o osiągnięciach myśli prawnej PiS, o „sukcesach”, o jakich świat dotąd nie słyszał, jak pozbycie się w tydzień Sądu Najwyższego („Dumni rekordziści”, DGP nr 56/2018). Dziś będzie o prawdziwym powodzie do dumy. Dwa tygodnie temu odbyła się w Pałacu Staszica w Warszawie konferencja z okazji trzech rocznic związanych z uniwersyteckimi poradniami prawnymi – 20 lat ruchu klinicznego w Polsce, 15 lat Fundacji Uniwersyteckich Poradni Prawnych, 10 lat Centrum Pro Bono. Żyjemy w czasach, kiedy prawnicy, zaskakiwani pomysłami rządzących, którzy europejski dorobek prawniczy wywracają do góry nogami, nie mają wielu powodów do świętowania. Tu jest inaczej i warto to sobie uświadomić i wpisać na listę naszych sukcesów, którymi możemy się autentycznie cieszyć, a także pokazywać je światu. Co ważne, ruch kliniczny, jego dorobek i osiągnięcia łączą, a nie dzielą. Działają razem, współpracują lub go wspierają środowiska uniwersyteckie i samorządy prawnicze, wielkie firmy prawnicze i mniejsze kancelarie czy indywidualni prawnicy, organizacje obywatelskie i niektóre instytucje publiczne, jak Rzecznik Praw Obywatelskich.

Z czego zatem konkretnie możemy być dumni? Spójrzmy na nasz wspólny dorobek przez pryzmat wspomnianych trzech rocznic.

Łatanie dziur – 20 lat klinik prawa

Po co nam kliniki prawa? Żeby łątać dziury w dostępie do pomocy prawnej dla osób bez środków? Żeby studenci mogli potrenować na żywym organizmie pacjenta i jego sprawy (stąd zresztą nazwa kliniki prawa – wzięła się od klinik na wydziałach medycznych). Czy bardziej po to, żeby wyrabiać w studentach prospołeczne postawy i dać im praktyczną wiedzę o zawodzie? Sam studiowałem prawo w czasach (początek lat 90. XX w.), kiedy oznaczało to głównie czytanie tekstów prawnych w oderwaniu od rzeczywistości. Elementów prawdziwej pracy prawnika, poza praktykami odbywanymi najczęściej na ostatnim roku studiów, prawie nie było. Krótko potem zacząłem prowadzić zajęcia i jednym z pierwszych pytań zadawanych studentom (pierwszego i ostatniego roku) było to, czy byli kiedykolwiek w sądzie. Znakomita większość nigdy nie była, dodatkowo wielu uważało, że w Polsce, jak w amerykańskich filmach prawniczych, adwokat chodzi po sali i pokrzykuje: „Sprzeciw!”, a sąd uznaje lub oddala. To ruchowi klinicznego zawdzięczamy ogromną zmianę tego stanu. A początki nie były łatwe.

Podczas rocznicy wspomniano rejs statkiem sprzed 20 lat – w czasie pierwszej konferencji w Szczecinie i Świnoujściu poświęconej tworzeniu klinik prawa. Wtedy idea ta budziła wiele wątpliwości, zarówno po stronie uniwersytetów (spotkaliśmy się z uczestnikami zjazdu dziekanów wydziałów prawa), jak i prawników. Wiele obaw formułowano także 20 lat temu podczas konferencji w tym samym Pałacu Staszica, w którym spotkaliśmy się niedawno. Wtedy przedstawiciele samorządów prawniczych mówili wprost, że nie wyobrażają sobie, by to student, którego nie wiąże tajemnica adwokacka, który nie jest ubezpieczony od odpowiedzialności cywilnej z tytułu błędu w sztuce ani związany kodeksem etyki adwokackiej, który nie ma prawa reprezentować klienta (bo monopol mają adwokaci i radcy prawni), udzielał pomocy prawnej w klinice prawa. Jak wiele się zmieniło... Rocznicową konferencję otworzyła prof. Celina Nowak, dyrektorka Instytutu Nauk Prawnych PAN, która – a jakże – 20 lat temu była

sama studentką prawa biorącą udział w pierwszej edycji zajęć klinicznych na Uniwersytecie Warszawskim. A zakończył konferencję panel, w którym przedstawiciele naczelnych i warszawskich samorządów prawniczych: prezes NRA Jacek Trela, wiceprezes KRRP Zbigniew Tur, warszawscy dziekani ORA adw. Miłkołaj Pietrzak i OIRP Włodzimierz Chrościak podkreślali walory ruchu klinicznego, dawali wyraz swojemu wsparciu, przedstawiali działalność prawników w ramach pracy pro bono.

Czego zatem dokonał ruch kliniczny? Od ponad 20 lat studenci i studentki prawa udzielają obywatelom porad prawnych pod opieką opiekunów (najczęściej pracowników uczelni, którzy jednocześnie wykonują zawód prawniczy, a co najmniej mają odpowiednie uprawnienia). Pierwsza była klinika na Uniwersytecie Jagiellońskim, rok później na Uniwersytecie Warszawskim. Potem, rok po roku, klinik przybywało. Dziś jest ich ponad 26 i chyba nie ma wydziału prawa, zarówno na uczelniach publicznych, jak i prywatnych, gdzie nie byłoby poradni – szanse takiego wydziału na przyciągnięcie studentów byłyby mniejsze, jest to także jeden z elementów branży pod uwagę przy tworzeniu rankingów wydziałów prawa.

W sumie przez kliniki przewinęło się ponad 23 tys. studentów. To robi wrażenie. Udzielili oni porad i pomocy w 150 tys. bardzo różnych spraw. Od drobnych, lokalowych przez rodzinne, emerytalno-rentowe po skomplikowane karne czy nawet skargi do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. W Polsce ta pomoc miała dodatkowe, wyjątkowe na tle innych krajów, znaczenie. Jako że przez lata nie mieliśmy systemu nieodpłatnej przedsądowej pomocy prawnej, a i z tzw. urzędówkami bywały kłopoty, ten pomocowy aspekt działania poradni był bardzo ważny. Kilkanaście tysięcy spraw rocznie oznaczało pomoc ludziom, którzy często nie mieli szans na jej uzyskanie. Dzisiaj to się zmieniło, funkcjonuje na poziomie powiatów system poradni świadczonych przez adwokatów i radców dla licznych kategorii obywateli, jak rodziny wielodzietne czy osoby bez pieniędzy. Jest też o wiele więcej prawników, a przez to (a także dzięki samopomocy w internecie) pomoc prawna stała się o wiele bardziej dostępna. Dane o liczbie spraw pokazują, że w ostatnim roku akademickim świadczono mniej porad niż kiedyś dane zaczęto zbierać. Ale to dobry znak,

kliniki prawa nigdy nie miały być fabryką porad, zmusiła je do tego rzeczywistość. Tak naprawdę są przede wszystkim po to, by uczyć prawa. Na aspekcie edukacyjnym – kształcenia umiejętności profesjonalnych i postaw – można się skupić przy niewielkiej liczbie spraw. To, że będzie ich teraz mniej, nie znaczy, że kliniki tracą znaczenie – przeciwnie, to znak, że wracamy do normalności. Bywa na świecie i tak, poznaliśmy przykład z USA, że grupa studentów z sekcji kliniki zajmującej się przemocą w rodzinie pracowała przez rok nad jedną skomplikowaną sprawą.

O tej zmieniającej się sytuacji mówili profesorowie Leonard Eteł, Małgorzata Król, Eleonora Zielińska oraz dr Wojciech Górowski. Podkreślali wkład kliniki w naukę prawa. Wprowadziły one nauczanie oparte na kazusach, po raz pierwszy zaczęto w nich uczyć etyki prawniczej, której nie było wcześniej w programie. Kliniki organizują także dla studentów szkolenia psychologiczne, na temat komunikacji (w tym praktyczne zajęcia z rozmowy z klientem), poświęcone mediacji, tworzą laboratoria pisania pism procesowych (warsztaty pisania pism). Dzięki klinikom, zwłaszcza sekcjom praw człowieka i prawa uchodźczego, studenci uczą się języków obcych (języka prawniczego).

Polskie kliniki to wiele innych projektów innowacyjnych. Poradnie organizują procesy pokazowe i symulacje rozpraw (dla siebie i dla innych, ucząc o prawie i sądzie). Wydają własne czasopismo prawnicze „Klinika”, w którym publikują akademicy, prawnicy, lecz także studenci z poradni. Angażują się w nowe tematy, szukając dla siebie niszy i tworząc kolejne obok podstawowych (jak karna, cywilna itp.) tematyczne oddziały poradni zajmujące się wyspecjalizowanymi dziedzinami – np. sekcja etyczna, medyczna, praw reprodukcyjnych, mediacji. Wreszcie, jest też specjalny rodzaj klinik – Kliniki prawa na co dzień (Street Law), gdzie studenci uczą o prawie innych (uczniów, więźniów itp.), a każdy, kto w życiu kogoś uczył, wie, że to najlepsza metoda, by samemu dogłębnie zrozumieć materię. Oferta klinik jest więc zdecydowanie bogatsza niż samo świadczenie porad. Student gdzie indziej takiej wiedzy i umiejętności nie dostanie!

Klinicyści mają też szerokie plany. Jak powiedział prof. Eteł, żeby mieć najlepszych studentów, trzeba być atrakcyjnym. Kiedyś, kiedy kliniki były nowe

Polskie pomysły kliniki

„Ażeby tej zbytniej scholastyce zajęć kazuistycznych zapobiec – zaproponowano urządzenie przy uniwersytetach t.zw. klinik prawnych. [...] Zamierzano utworzyć biura bezpłatnej porady prawnej dla ubogiej ludności. Biuro ma się mieścić przy uniwersytecie pod zarządem wyznaczonego przez wydział profesora. Porad udzielają specjaliści w obecności studentów, którzy w ten sposób mogą zapoznawać się z życiem, biorąc udział w dyskusji, udzielając odpowiedzi na pytania, redagując potrzebne akty [...]”.

Szymon Rundstein, „Studia i szkice prawne”, Lwów 1904

„Jest pewna analogia, pełna komizmu i smutku, między procesem sądowym, a chorobą. Są one podobne w tem, że spadają nietylko na tych, którzy mogą bez wysiłku zapłacić za pomoc. Ta właśnie analogia zwraca naszą uwagę na kliniki uniwersyteckie i ambulatorja, jako na wzór organizacyjny dla stworzenia pomocy prawnej, bezpłatnej i małopłatnej. [...]

Poradnia prawnicza przy wydziale prawnym uniwersytetu może spełniać funkcję podobną do funkcji kliniki. Zupełnie niewątpliwą jest rzeczą, że może wykonywać pracę rzeczoznawczą. [...] Potrzebna jest nietylko i bynajmniej nie przedewszystkiem, jako instytucja filantropijna. Jest niezbędną jako środek dydaktyczny. Jej zadaniem będzie wprowadzić pulsujące życie w mury uczelni i uczynić je przedmiotem naukowego badania oraz tworzywem odpowiedzialnej, bo życiowo doniosłej, konstrukcji społecznej. Nie można się uczyć sztuki lekarskiej wyłącznie w muzeum anatomii patologicznej. Nie można też nauczyć się sztuki kierowania życiem prawnym i społecznym z martwej litery naukowego traktatu, ani nawet z ćwiczonego przeżywania aktów sądowych, wyciągniętych z archiwum. Młody adept prawa musi się stykać z żywymi konkretnymi przypadkami. [...]

Wdzięczny jestem niezmiernie dojrzałej młodzieży prawniczej, że uznała znaczenie mojej skromnej i prostej koncepcji i że poradnię prawniczą wprowadziła na miejsce bardzo poczesne do swego „projektu reformy studiów”.

Czesław Znamierowski, „O naprawie studiów prawniczych”, Warszawa 1938



foto: Wojtek Górski

ŁUKASZ BOJARSKI

prezes INPRIS – Instytutu Prawa i Społeczeństwa, były członek Krajowej Rady Sądownictwa powołany przez prezydenta RP (wrzesień 2010 – wrzesień 2015). Jeden z propagatorów ruchu klinicznego, między innymi współfundator i przewodniczący Rady w Fundacji Uniwersyteckich Poradni Prawnych

pracy pro bono



fot. Shutterstock

i niewielkie, mogli się do nich dostać tylko najlepsi, dziś jest ich więcej, a rynek stwarza wiele możliwości zdobywania praktycznych doświadczeń. Kliniki szukają więc możliwości reprezentowania klientów przez studentów (nie całkiem udało się to z kuratorami, są takie możliwości w sprawach administracyjnych, ale jakoś niezbyt popularne). Chodzi oczywiście o reprezentację w sprawach drobnych, dla poszerzenia doświadczenia. Pojawiające się pomysły na kolejne sekcje kliniczne obejmują zagadnienia prawa europejskiego (współpraca międzynarodowa klinik), mikroprzedsiębiorczości, zagadnień związanych z digitalizacją życia i aplikacjami na urządzenia elektroniczne.

I wątek ostatni, ale kluczowy. Kliniki to uczenie postaw, a wydaje się, że właśnie teraz, w dobie ataku na utrwalone prawnicze standardy, na konstytucję, ma to ogromne znaczenie. O tym, jaką rolę odgrywają kliniki prawa, może świadczyć to, że spośród studentów poradni rekrutuje się wielu prawników, którzy potem angażują się społecznie w różne przedsięwzięcia, czy to jako działacze organizacji obywatelskich (lub ich współpracownicy), czy to jako prawnicy włączający się w pracę pro bono. Wielu z nich podkreśla, że tę postawę, potrzebę pomagania, wrażliwość, wynieśli właśnie z kliniki prawa. Do tego też nawiązywał podczas konferencji adw. Filip Wejman, który zachęcał FUPP i kliniki do zajmowania stanowiska wobec wydarzeń w Polsce, łamania konstytucji, niszczenia trójpodziału władzy i niezależności sądów.

Strategia - 15 lat FUPP

Ważną rolę w rozwoju ruchu klinicznego w Polsce odegrała fundacja Uniwersyteckich Poradni Prawnych

(FUPP). Lista działań i osiągnięć Fundacji jest długa, wymienię niektóre z nich. Po pierwsze FUPP promowała kliniki i zachęcała kolejne wydziały prawa do ich tworzenia. Po drugie skupiła się na podkreślanu, jak ważna jest jakość porad. Wprowadziła wyśrubowane standardy działania, które poradnia musi spełnić, żeby mieć swego przedstawiciela w FUPP i korzystać z inicjatyw dla certyfikowanych klinik. To fundacja odpowiada za przygotowanie już 17 pozycji literatury naukowej i metodologicznej związanych z nauczaniem klinicznym (ich listę oraz wersje elektroniczne niektórych można znaleźć na stronie fupp.org.pl). O znaczeniu polskiego ruchu klinicznego może świadczyć między innymi to, że jedna z tych pozycji – „Studencka Poradnia Prawna. Idea, Organizacja, Metodologia” – została przetłumaczona na języki angielski i chiński.

FUPP także we współpracy z poszczególnymi poradniami organizuje regularne ogólnopolskie (a bywa, że i międzynarodowe) konferencje i warsztaty, gdzie klinicyści dzielą się swoimi doświadczeniami i podnoszą kwalifikacje – było ich już 28. Także wydawane przez FUPP wspomniane



Jako że przez lata nie mieliśmy systemu nieodpłatnej przedsądowej pomocy prawnej, a i z tzw. urzędówkami bywały kłopoty, pomocowy aspekt działania poradni był bardzo ważny. Dzisiaj to się zmieniło, ale to dobry znak

czasopismo „Klinika” ukazało się już 28 razy (pierwsze numery były wydawane przez poradnię na Uniwersytecie Jagiellońskim).

Fundacja jest swego rodzaju reprezentantem klinik, prowadzi na ich rzecz rzecznictwo czy nawet społeczny lobbying. Od początku odgrywała ważną rolę we współpracy i kontaktach z dziekanami wydziałów prawa i samorządami zawodów prawniczych. Ale nie ogranicza się do tego, brała udział we wszystkich ważniejszych systemowych pracach dotyczących dostępu do pomocy prawnej i poradnictwa prawnego dla obywateli. Od początku współtworzyła nieformalną koalicję organizacji, które się tym zajmowały, opiniowała kolejne projekty aktów prawnych, współdziałała przy opracowaniu Zielonej Księgi poświęconej tej problematyce w Kancelarii Prezydenta, obecnie zaś prezes FUPP dr Filip Czernicki jest jednym z dwóch przedstawicieli organizacji obywatelskich w Radzie Nieodpłatnej Pomocy Prawnej będącej organem opiniodawczo-doradczym ministra sprawiedliwości.

Kolejna ważna rola fundacji to promowanie działalności pro bono prawników – nieodpłatnej pomocy potrzebującym (nie należy mylić tej działalności, co ciągle się zdarza z obronami i pełnomocnictwami z urzędu czy świadczeniem nieodpłatnej pomocy prawnej w ramach systemu państwowego). Oczywiście polscy prawnicy pomagali indywidualnie od zawsze, chodziło jednak o to, by takie postawy promować, a także tworzyć ramy dla bardziej systemowych rozwiązań. Promowaniu postaw i podjęciu najbardziej zaangażowanym, służy konkurs o tytuł Prawnika Pro Bono Roku, którego pomysłodawcą miałem szczęście być, ale który zorganizowała fundacja wspierana przez wielu prawników i patrona prasowego („Rzeczpospolita”). Obecnie trwa 15. edycja tego konkursu, a laureaci z lat poprzednich to wspaniałe postaci, które mogą być przykładem dla wielu adeptów prawa. Prawnikiem Pro Bono w ramach ostatniej edycji została mec. Sylwia Gregorczyk-Abram z Warszawy – zaangażowana w wiele projektów, jak choćby „Tydzień Konstytucyjny”, czy „Wolne Sądy” (mec. Gregorczyk-Abram była też laureatką rankingu DGP „Rising Stars. Prawnicy – liderzy jutra 2016”). Wśród laureatów i osób wyróżnionych są przedstawiciele różnych zawodów prawniczych, w tym i sędziowie, i prokuratorzy, z całej Polski.

O docenieniu roli FUPP w promowaniu działalności pro bono świadczy także to, że prezes fundacji Filip Czernicki został sam uhonorowany prestiżową nagrodą Europejskiego Prawnika Pro Bono przyznaną podczas Europejskiego Pro Bono Forum w Madrycie w 2012 r. A rok później to doroczne wydarzenie odbyło się w Polsce (także z pomocą FUPP), do której zjechali prawnicy z całego świata.

Mądra pomoc - 10 lat Centrum Pro Bono

Jednym z działań fundacji na rzecz promowania pracy pro bono prawników było stworzenie osobnej inicjatywy pod nazwą Centrum Pro Bono. To drugie takie centrum w Europie, pierwsze powstało na Węgrzech, obecnie funkcjonują już jednak w wielu krajach. Korzystając z wzorców anglosaskich, centrum należy do instytucji zwanych clearinghouse, które pośredniczą pomiędzy potrzebującymi pomocy prawnej a prawnikami mogącymi ją świadczyć. Takie centrum stanowi wstępne sito, weryfikuje wnioskodawców i sprawy, szuka odpowiedniego prawnika, czasem pomaga mu w pracy. Chodzi

o to, by po pierwsze pomóc nawiązać kontakt obu stronom, a po drugie, by czas prawnika wykorzystać jak najlepiej – na pomoc profesjonalną, a odciążyć go od spraw administracyjnych i organizacyjnych. Polskie centrum działa w ten sposób, że pośredniczy między organizacjami obywatelskimi, które potrzebują pomocy prawnej, a prawnikami, głównie wielkimi kancelariami prawniczymi, ale nie tylko. W ciągu 10 lat dziesiątki kancelarii i prawników udzieliło pomocy w ponad 500 sprawach, w ostatnim roku w około 100. Organizacje obywatelskie potrzebują pomocy w sprawach cywilnych (umowy), podatkowych, związanych z działalnością gospodarczą, prawem pracy czy prawem administracyjnym. Jednak pomoc nie ogranicza się do tego. Prawnicy wspierają organizacje wiedzy ekspercką, na przykład z zakresu zarządzania zespołem, pomagają w opracowaniach eksperckich, tworzą, lub recenzują ulotki i poradniki tworzone dla nieprawników. Współorganizują seminaria dla organizacji, przekazując im wiedzę prawną na bieżące pilne tematy. Angażują się także w projekty edukacyjne, jak choćby zajęcia w szkołach. Te same kancelarie wreszcie przekazują darowizny, które pozwalają na działanie centrum.

Chwalmy się!

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że Uniwersyteckie Poradnie Prawne są znakomitą wizytówką Polski, warto o tym wiedzieć, warto o tym mówić, kiedy rozmawiamy z kolegami prawnikami z innych krajów. Nasze doświadczenia są studiowane i doceniane na świecie. Wielokrotnie organizowaliśmy wizyty studyjne dla delegacji z wielu krajów, które chciały poznać polski ruch poradniczy. Polscy klinicyści także podróżują, ucząc się od innych i dzieląc naszymi doświadczeniami. Kiedy tworzyliśmy kliniki w Polsce, korzystaliśmy z wzorców amerykańskich. Niektórzy zresztą argumentowali, że nie da się takiej anglosaskiej instytucji przeszczepić na nasz grunt. Później, co zabawne, odnaleźliśmy polskie publikacje na temat klinik, które o lata wyprzedziły pomysły amerykańskie (zobacz ramka). Nasza historia utrudniała jednak ich tworzenie i rozwój.

Jest wreszcie interesujące, że w wielu krajach naszego regionu 20 lat temu także podjęto trud budowy ruchu klinicznego, jednak po latach, po wycofaniu się zagranicznych darczyńców, okazało się, że wiele klinik zniknęło. Polska jest tu wyjątkiem, kliniki są u nas stałym elementem programu nauczania. Dlaczego tak się stało rozmawiano także podczas konferencji. Najczęstszą opinią było, że „ten sukces zawdzięczamy ludziom” – naprawdę oddanym idei ruchu klinicznego twórcom i prawnikom polskich poradni, kolejnym zarządom FUPP, w których świetni prawnicy od lat (także pro bono) inicjują wspomniane projekty, życzliwości różnych instytucji jak uczelnie i wydziały prawa, samorządy prawnicze, czy kolejni rzecznicy praw obywatelskich. Ale zwłaszcza na początku nie obyło się bez pomocy darczyńców, a wśród nich Fundacji im. Stefana Batorego, Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności, Fundacji Forda i Fundacji Open Society. Z kolei wydawnictwo CH Beck od lat wspiera ruch kliniczny, udostępniając poradnikom bazę Legalis i wydając publikacje kliniczne. Wszystkim, którzy się do sukcesu polskich klinik przyczynili, dziękujemy. Cieszymy się zatem, bądźmy dumni i świętujemy te jubileusze. ©

Znani jasnowidze t

Tadeusz Tomaszewski: Wierzę, że ostra krytyka, z jaką spotkał się pomysł powoływania jasnowidzów w charakterze biegłych, na dobre zniechęciła do tego wszystkich prokuratorów i sędziów. W przeciwnym razie moglibyśmy zapomnieć o współczesnym postrzeganiu dowodów w ich procesowym znaczeniu

Czy jasnowidz jest w stanie pomóc w rozwiązaniu skomplikowanej sprawy karnej?

Patrząc racjonalnie, nie. Po to kształci się ludzi – prawników, policjantów, ekspertów – oraz wymyśla różne metody badawcze, śledcze, kryminalistyczne, żeby stosować powszechnie przyjęte i skuteczne metody działania. Rzeczywiście w praktyce zdarza się, że organy ścigania korzystają z pomocy jasnowidzów. Gdzieś można nawet znaleźć informacje, że skorzystanie z pomocy medium okazało się skuteczne. Jestem jednak naukowcem, więc patrzę przede wszystkim na to, co naukowe i racjonalne. A z żadnego znanego mi badania nie wynika, by jasnowidz mógł rozwiązywać skomplikowane sprawy kryminalne.

Jak więc wytłumaczyć to, że w niektórych sprawach ich pomoc okazywała się skuteczna? Przyszają to niekiedy sami policjanci.

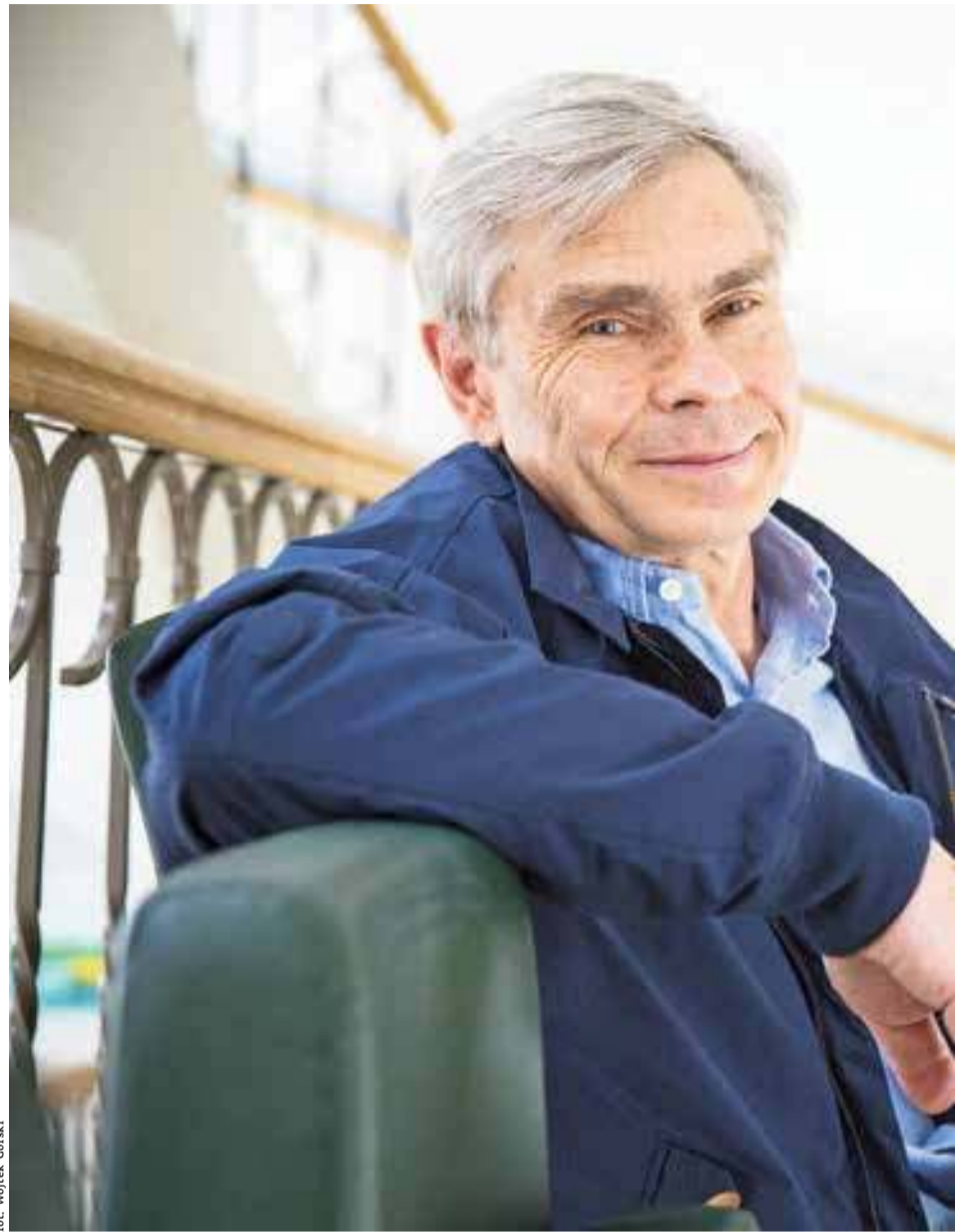
Kilkanaście lat temu to samo pytanie zadała sobie Komenda Główna Policji i przeprowadziła analizę wybranych spraw. Odpowiedź była prozaiczna: można to wytłumaczyć błędem statystycznym. Jeśli wskazówki jasnowidza okażą się pomocne w dwóch sprawach na sto, zapewne o tych dwóch sprawach zrobi się głośno. Zadbają o to sami jasnowidze, chwając się swoimi sukcesami. Jednocześnie, gdybyśmy przyjrzyli się tym pojedynczym przypadkom, okazałoby się, że wskazania medium wcale nie były takie przełomowe dla śledztwa. Jeśli bowiem przykładowo jasnowidz powie „widzę ciało w lesie”, gdy zaginiony mieszkał w pobliżu dużego lasu, a następnie rzeczywiście to ciało w lesie zostanie odnalezione – czy możemy powiedzieć, że dzięki pomocy jasnowidza udało się posunąć śledztwo naprzód? Moim zdaniem wartościowa byłaby dopiero informacja, gdyby medium zaznaczyło krzyżykiem na mapie dokładne miejsce, gdzie znajdują się zwłoki. A najczęściej, gdy mówi się o sukcesach jasnowidzów, nie wspomina się o tym, jak dokładne było wskazanie.

Odnoszę wrażenie, że wielu polskich policjantów wierzy w jasnowidzenie.

Nie wiem, czy wielu. Nie wydaje mi się, by była to jakaś nadmiernie duża grupa. Na pewno nie dostrzegam większej chęci do wykorzystywania pracy jasnowidzów wśród osób decyzyjnych w policji. Nie brakuje za to rzeczywiście policjantów niższych rangą, którzy wierzą w jasnowidzenie. Tyle że to właśnie chyba jest najlepsze określenie – „wierzą”. Skoro określony odsetek społeczeństwa wierzy w zdolności medium, będą też wśród wierzących policjanci. I nie widzę w tym nic złego, o ile nie zaburza to ich pracy wykrywczej i dowodowej. Nie może być tak, że policjant od razu, jak tylko dostanie sprawę, będzie liczył na jasnowidza. Ale jeśli będzie go traktował jako ostatnią deskę ratunku, to może warto się nad tym zastanowić.

Nawet generał Adam Rapacki mówił, że „policja nie powinna odcinać się od współpracy z jasnowidzem. Nie wszystko, czego nie potrafimy wyjaśnić, należy odrzucić”.

Ależ ja się zgadzam z panem generałem! Przecież ja też całkiem nie odrzucam metod, nazwijmy je tak: nienaukowych albo niekonwencjonalnych. Tylko niech to nie będzie uznawane za regularną metodę pracy organów ścigania. Generał Rapacki był przez wiele lat wysoko postawionym oficerem policji, wiceministrem odpowiedzialnym za nadzór nad tą formacją. Ma więc ogromne doświadczenie zawodowe jako policjant. Nie zatrudnił jednak jasnowidzów na policyjnych etatach. Tak więc jeśli teraz ich zwolennicy powołują się na jego słowa sprzed kilkunastu lat, to uczciwie byłoby przedstawić ich kon-



Tadeusz Tomaszewski, profesor nauk prawnych, kierownik Katedry Kryminalistyki na Wydziale Prawa

tekst. Z tego, co pamiętam, pan generał stwierdził tak, gdy toczyła się batalia o to, czy studenci jednego z kół naukowych mogą zaprosić na swoje spotkanie jasnowidza. Rozumiem jego wypowiedź bardziej jako obronę wolności badań naukowych, a mniej jako zdecydowane ujęcie się za jasnowidzami.

Może nie wszystko da się naukowo wyjaśnić?

Pewnie nie wszystko. Znam te opinie: że różdżka pomoże, że sądy Boże... Jeszcze tortury do tego. Ale przecież rozwijamy kryminalistykę i prowadzimy badania naukowe. Każdemu stwierdzeniu opartemu na nauce moglibyśmy przeciwstawić argument, że „nie wszystko da się naukowo wyjaśnić”. Tyle że ja – być może jak przystało na uniwersyteckiego profesora – uważam, że podstawą działania powinna być nauka. Mówiąc wprost, uważam, że sprawy kryminalne udaje się rozwiązywać dzięki temu, że opracowano konkretne metody i je przez lata szlifowano, a nie dzięki mitycznej intuicji, nie mówiąc już o metodach parapsychicznych.

Nie wierzy pan w policyjną intuicję?

Wszystko zależy od tego, jak rozumiemy intuicję. Jeśli przyjmujemy, że jest to logiczne rozumowanie oraz wiedza i doświadczenie policjanta, to taką intuicję w pracy policjanta oczywiście akceptuję. Większość z nas działa na podstawie pewnych wypracowanych schematów lub algorytmów. Wiele spraw da się w tych schematach zmieścić.

Skoro brakuje rzetelnych badań naukowych na temat jasnowidzenia, może po prostu powinniście je na UW przeprowadzić?

Rzeczywiście brakuje takich badań; co najwyżej, także w literaturze fachowej, spotykamy mniej lub bardziej sensacyjne doniesienia, ale trudno je uogólniać. Uważam więc, że takie badania warto rzetelnie zaprojektować i je przeprowadzić. Pomysł ich wykonania na Uniwersytecie Warszawskim jest świetny, myślę, że także studenci byłiby nimi zainteresowani. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że byłoby to wyjątkowo trudne zadanie. Wprawdzie warsztatowo nie wydaje się ono przesadnie skomplikowane, jednak pochłonięłoby ogrom pracy. Takie badania powinny bowiem polegać na analizie akt wielu set spraw karnych i drobiazgowej ocenie okoliczności każdego z badanych przypadków, choćby dla ustalenia, czy w ogóle i w jakim stopniu pomoc medium okazała się przydatna. Musiałby to robić spory zespół badawczy. I oczywiście wiele zależałoby od tego, czy na ten cel znajdują się pieniądze. Ale chyba warto spróbować. Gdyby się udało, byłibyśmy pionierami na skalę światową.

A na świecie coraz więcej osób wierzy w jasnowidzenie. W wielu krajach już nikogo nie zaskakuje, że jasnowidz reklamuje się na billboardach przy trasie szybkiego ruchu.

Tak, w ostatnich latach wzrasta wiara w to, co nienaukowe, w różne zabobony i egzorcystów. Okazuje się bowiem, że nauka nie przynosi nam prostych odpowiedzi na trudne pytania. Nie zawsze też pozwala rozwiązać sprawy kryminalne. Niektórzy więc szukają drogi na skróty.

Ciemnogród?

Tak, przy czym chciałbym podkreślić, że ja oczywiście nie wypowiadam się

O przedsiębiorcy



i Administracji UW

negatywnie o ludziach, którzy wierzą jasnowidzom. Rozumiem rodziny osób zaginionych, które wszelkimi możliwymi metodami starają się odnaleźć swoich bliskich lub choćby dowiedzieć się o ich losie. Rozumiem czekających na wykrycie sprawcy, który pozbawił życia ich najbliższego. Ale mimo wszystko to nadal – niestety – ciemnoogród.

Z którego niektórzy zrobili biznes. Ukazała się książka o najbardziej znanym polskim jasnowidzu Krzysztofie Jackowskim. Napisał ją we współpracy z Jackowskim Krzysztof Janoszek – policjant. To, co mnie zaskoczyło, to tak wiele pozytywnych opinii na temat jasnowidzenia. I to nawet wśród profesorów kryminalistyki.

Z liczbą tych pozytywnych opinii profesorów kryminalistyki to bym nie przesadzał. Zresztą nie wiem, jak wyglądało pozyskiwanie opinii naukowców do książki; na ile słowa tych profesorów odpowiadają ich rzeczywistym intencjom, a na ile zostały dopasowane do potwierdzenia stawianej w książce tezy. Ale ja nie mam żadnego problemu z tym, że ktoś uważa inaczej niż ja. Jednak chciałbym, aby naukowiec stawiane przez siebie tezy udowadniał w naukowy sposób.

Skoro większość policjantów nie wierzy, skąd popularność jasnowidzów?

Często na skorzystaniu z ich usług zależy rodzinom. I tu można dostrzec pozytywny aspekt ich wykorzystywania: jasnowidz daje nadzieję. Zdarzają się takie sytuacje, gdy policjanci rozkładają ręce, mówią, że nic nie da

się już zrobić. Nawet sami doradzają, aby zwrócić się o pomoc do jasnowidza. Wtedy on pomaga, daje choćby komfort psychiczny. Co więcej, zakładam, że może się zdarzyć tak, że jakkolwiek wskazówka medium nie pomogła, to presja ze strony rodziny, która ciągle wierzy, pomaga rozwiązać sprawę. Rodzina patrzy na ręce policjantom, dopytuje, czy coś zostało sprawdzone – „bo jasnowidz powiedział, że to ważne”.

Gdyby przyszedł do pana policjant i powiedział, że może skorzystać z pomocy jasnowidza. Rodzina chce za to zapłacić. Co by mu pan poradził?

Odradzałbym. Ale zaznaczyłbym, że to moje przekonanie. Może być tak, że jasnowidz spełni zupełnie inną rolę, będzie np. wsparciem psychologicznym dla rodziny zaginionego. Z kryminalistycznego punktu widzenia jednak korzyści nie dostrzegam.



Zdarzają się sytuacje, gdy policjanci rozkładają ręce, mówią, że nic nie da się już zrobić. Nawet sami doradzają, aby zwrócić się o pomoc do jasnowidza. Wtedy on pomaga, daje choćby komfort psychiczny. Rodzina patrzy też policjantom na ręce, dopytuje, czy coś zostało sprawdzone – bo jasnowidz powiedział, że to ważne

Krzysztof Jackowski swoją książkę zatytułował „Jasnowidz na policyjnym etacie”. Rozumiem, że pan byłby przeciw zatrudnianiu jasnowidzów w policji?

Tak, przynajmniej w obecnym stanie wiedzy byłbym bardzo sceptyczny. Wiem, że jasnowidze, których wolałbym w takiej sytuacji nazywać „medium”, pojawiają się w związku z pracą prokuratury i policji, ale nie widzę korzyści z włączenia ich w oficjalne struktury.

Ostatnio uruchomiliśmy na Uniwersytecie Warszawskim magisterskie studia kryminalistyczne, w ramach których uczymy studentów naukowych metod śledczych i technik laboratoryjnych badania dowodów rzeczowych. Nie miałbym jednak nic przeciw temu, by na zajęcia z moimi studentami przyszedł pan Krzysztof Jackowski. Mógłby wtedy przedstawić swoje stanowisko i może nawet opowiedzieć o sprawach, które uważa za swoje sukcesy. Mógłby też porozmawiać ze studentami i odpowiedzieć na ich pytania. Wierzę, że to byłyby bardzo ciekawe zajęcia. Ale nie zdecydowałbym się powierzyć mu prowadzenia 30-godzinnego wykładu z kryminalistyki.

Dlaczego pan Jackowski i jego koledzy po fachu mają tyle pięknych dyplomów i zaświadczeń o współpracy wystawianych przez policję?

Nie mam pojęcia. Też mnie to zastanawia. Być może to jest dokumentacja współpracy jasnowidzów z policjantami, którzy wierzą, że medium pomogło im w ich pracy. Nie mogę jednak wykluczyć, że odpowiedź jest o wiele prostsza, to znaczy jasnowidze proszą o wystawienie zaświadczenia, a policjanci je wystawiają. Pomagają im przy tym, prawdopodobnie nieświadomie, w prowadzeniu działalności gospodarczej. Bo warto pamiętać, że najbardziej rozpoznawalni jasnowidze w Polsce to po prostu przedsiębiorcy.

Z drugiej strony, skoro korzystanie z usług jasnowidza uspokaja rodziny, może należałoby przyjąć: „a niech korzystają”. Skoro to one opłacają usługę, co policji czy prokuraturze do tego?

To nie takie proste. Organy ścigania często podejmują jakieś działania na podstawie wskazówek jasnowidza. Przykładowo, jeśli wskaże, że zwłoki poszukiwanej osoby znajdują się w jeziorze, najprawdopodobniej zostaną wezwani pletwonurkowie, by to sprawdzić. To są spore koszty. Zapewne te pieniądze można by przeznaczyć na inne działania, bardziej racjonalnie. Nie należy zapominać o tym aspekcie.

To może profesjonalny jasnowidz za fałszywe wskazanie powinien być obciążony kosztami akcji?

Pańska propozycja jest dość radykalna, ale wcale tak bardzo nie odznaczałbym się od tego pomysłu. Pamiętam sprawę, w której dwie studentki zginęły w górach i jakiś jasnowidz stwierdził, że wie, gdzie one są. Na podstawie jego wskazówek przeprowadzono wielką akcję poszukiwawczą z użyciem helikopterów. Wydano na to dużo pieniędzy. A okazało się, że dziewczyny były za granicą i się dobrze bawiły.

Ale ostatecznie o tym, czy wysłać te helikoptery, decyduje nie jasnowidz, lecz prokuratura i policja.

To prawda. Jednak nie wyobrażam sobie obciążania finansowo śledczych, którzy starają się rozwiązać sprawę. Dlatego idea obciążania jasnowidzów kosztami błędnych wskazań mi się nawet podoba, choć w rzeczywistości mogłaby być trudna w realizacji. Pozostaje więc wierzyć, że śledczy

są racjonalni i wysyłają helikoptery nie tylko pod wpływem porad medium.

Tak jak mówiłem, nie mówię zdecydowanego „nie” korzystaniu z usług jasnowidzów. Ale gdyby miało się okazać, że stoimy przed wyborem przeprowadzenia badań genetycznych albo zatrudnienia jasnowidza i zastosowania się do jego wskazania, i w końcu wybralibyśmy to drugie – byłoby bardzo źle. Jeśli nadejdzie taki dzień – choć wierzę, że nie – to będę głośno przeciw temu protestował.

Tak jak protestował pan przeciwko temu, by jasnowidz mógł być biegłym.

Zdecydowanie. Z tego co wiem, był na razie tylko jeden taki przypadek w Polsce. Ale to o jeden za dużo. Mogę sobie bowiem wyobrazić działania jasnowidza na etapie pracy wykrywczej, ale gdy zostaje on biegłym, jest to zupełne pomieszanie porządków. Biegły w polskim prawie to źródło dowodu, i to obecnie bardzo ważnego i coraz częściej przeprowadzanego dowodu, na podstawie którego sądy niejednokrotnie wydają wyroki. A jak traktować wizję medium w procesie karnym? Niepojęte dla mnie jest wydanie wyroku na podstawie stwierdzenia, że ktoś w paranormalny sposób coś dostrzegł.

Przed wszystkim zastanawiam się, jak oskarżony mógłby się bronić, gdyby jasnowidz stwierdził, że to właśnie oskarżony zabił.

Dokładnie o tym mówię. Jak budować linię obrony? Jak się bronić przed stwierdzeniem „nie wiem, skąd to wiem, ale wiem”? I jak zadawać jasnowidzowi pytania, skoro na każde może odpowiedzieć, że „tego się nie da pojąć”? Kompletny nonsens. Wierzę, że ostra krytyka, z jaką spotkał się pomysł powoływania jasnowidzów w charakterze biegłych, na dobre zniechęciła do tego wszystkich prokuratorów i sędziów. W przeciwnym razie moglibyśmy zapomnieć o wspólnym postrzeganiu dowodów w ich procesowym znaczeniu. Przecież warunkiem przyjęcia dowodu przez sąd jako podstawy orzekania jest spełnienie przez taki dowód, w szczególności oparty na tzw. wiadomościach specjalnych, kilku fundamentalnych warunków. Przede wszystkim metoda, która leży u podstaw uzyskania opinii biegłego, musi być sprawdzona, zwalidowana, w wielu krajach wymaga się jej certyfikacji. Ponadto powinna być wnikliwie opisana w literaturze i poddana ocenie innych specjalistów, a przede wszystkim powinna podlegać należytej kontroli. Jeżeli dowód z opinii biegłego nie spełnia tych warunków, to nie powinien być dowodem. A wypowiedź medium żadnego z tych warunków nie spełnia. I przede wszystkim nie daje się w żaden sposób skontrolować.

W dawnym wywiadzie dla „Polityki” powiedział pan, że równie dobrze można by w sądzie urządzić seans spirytystyczny.

To trochę ironiczne, a trochę dramatyczne stwierdzenie miało zwracać uwagę na to, że wartość dowodowa jednego i drugiego byłaby dokładnie taka sama, to znaczy żadna. Bardzo zgrabnie o podobnym przypadku opowiadał kiedyś mój poprzednik, były kierownik Katedry Kryminalistyki prof. Zbigniew Czeżot. Mówił on o astronomach i astrologach. Tego pierwszego możemy oczywiście wezwać do sądu, dopuścić dowód z jego z opinii i odpowiednio przepytac. Natomiast z astrologiem możemy sobie co najwyżej porozmawiać o gwiazdach na sądowym korcytarzu. ©

ANALIZA WYROKU

Tryb specjalny w sprawach z ZUS

Kiedy pełnomocnik przedkłada kserokopię zamiast oryginału pełnomocnictwa, racjonalnie jest uznać to za brak, który da się usunąć w trakcie czynności wyjaśniających

Ewa Maria Radlińska
dgp@infor.pl

Stan faktyczny

Przewodniczący w sądzie okręgowym w Gdańsku zwrócił odwołanie skarżącej od decyzji Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Wskazał, że zobowiązał wcześniej jej pełnomocnika do usunięcia braków formalnych (złożenia oryginału pełnomocnictwa lub jego uwierzytelnionego odpisu i odpisu upoważnienia dla aplikanta adwokackiego występującego w sprawie). Do odwołania dołączono bowiem jedynie kserokopię pełnomocnictwa bez jej uwierzytelnienia dla adwokata oraz kserokopię upoważnienia dla aplikanta. W określonym terminie pełnomocnik złożył tylko oryginał pełnomocnictwa dla siebie, ale upoważnienie dla aplikanta zostało przekazane w formie kopii bez uwierzytelnienia. Sąd wskazał, że skoro odwołanie zostało wniesione przez aplikanta, to złożenie oryginału pełnomocnictwa jedynie dla adwokata nie stanowi dostatecznego wykazania umocowania w sprawie.

Pełnomocnik wniósł zażalenie.

Uzasadnienie

Sąd Apelacyjny w Gdańsku uchylił zaskarżone zarządzenie (sygn. akt III AUz 280/17). Wskazał, że w doktrynie przyjmuje się, że przewodniczący przy badaniu pozwu pod

względem formalnym nie może zadowolili się dołączeniem dowolnego pełnomocnictwa, ale musi przestrzegać, by dołączone było niewadliwe pełnomocnictwo upoważniające do działania w imieniu powoda w danej sprawie. Jeżeli wymagania to nie jest spełnione, powinien mieć zastosowanie art. 130 k.p.c. W tej sprawie zwrot odwołania nastąpił z powodu niezłożenia oryginału upoważnienia lub jego uwierzytelnionego odpisu dla aplikanta, wobec czego stwierdzono brak jego umocowania do złożenia odwołania. Pomińmy wezwania brak ten nie został usunięty. Należało podjąć czynności zmierzające do wyjaśnienia umocowania adwokata i aplikanta do występowania w sprawie jako pełnomocnika skarżącej.

W sprawie rozważenia wymagało przede wszystkim, czy prawidłowo został zastosowany art. 130 k.p.c. W sprawach z zakresu ubezpieczeń społecznych przewidziany jest bowiem odrębny tryb postępowania mający na celu odformalizowanie procesu i ułatwienie dochodzenia roszczeń. Temu celowi służy art. 468 k.p.c., który – odmiennie niż art. 130 – przewiduje usunięcie braków formalnych na posiedzeniu wyjaśniającym. Artykuł ten, zgodnie z którym czynności wyjaśniające mają na celu usunięcie braków formalnych pism procesowych, jako przepis szczególny wyłącza możliwość zastosowania art. 130 k.p.c., czyli w tym przypadku

Komentarz



Michał Paprocki
radca prawny

Szczególny charakter orzeczenia sądu apelacyjnego wynika z faktu, że sąd bardzo pragmatycznie podszedł do kwestii relacji przepisu art. 468 i 130 k.p.c. w sprawie z zakresu ubezpieczeń społecznych. Kluczowe pytanie brzmi: czy brak należytego wykazania umocowania do złożenia odwołania przez pełnomocnika jest brakiem formalnym, który da się usunąć w trakcie czynności wyjaśniających sądu, czy wymaga wezwania do ich uzupełnienia i podlega sankcji z art. 130 k.p.c. Popieram stanowisko sądu, który stwierdził, że załączenie do odwołania kserokopii pełnomocnictwa zamiast jego oryginału lub uwierzytelnionego odpisu nie jest brakiem tego rodzaju, który uzasadnia zastosowanie art. 130 k.p.c. To zdroworozsądkowe podejście, które w mojej ocenie powinno być standardem w postępowaniach cywilnych.

Ustalenie, czy odwołanie zostało wniesione przez osobę umocowaną do dokonania czynności, jest kwestią kluczową. Ten element ma wpływ na ważność całego postępowania. W sytuacji, w której pełnomocnik przedłożył kserokopię w miejsce oryginału lub uwierzytelnionej kopii – przyjęcie, że jest to brak, który da się usunąć w trakcie czynności wyjaśniających sądu – to życzliwa i racjonalna interpretacja. Pełnomocnik, który złożył kserokopię, przedłożył dokument w niewłaściwej formie. To niedopatrzienie można usunąć w trakcie czynności wyjaśniających. Fakt jego złożenia przez pełnomocnika należy traktować jako czynność stanowiącą konkludentne potwierdzenie posiadania takiego umocowania. W tym przypadku pełnomocnik bierze odpowiedzialność za treść tego oświadczenia i to jego obciążać będą wszelkie konsekwencje jego braku prawdziwości. W tym przy-

zwrotu odwołania, w każdej sytuacji, gdy takie braki mogą zostać usunięte w trakcie czynności wyjaśniających. Sąd apelacyjny podzielił stanowisko Sądu Najwyższego wyrażone w postanowieniu z 21 kwietnia 2009 r. (sygn. akt I UZ 7/09). W uzasadnieniu tego postanowienia SN jednoznacznie

wskazał, że odwołanie w sprawie z zakresu ubezpieczeń społecznych może być zwrócone tylko wówczas, gdy mimo wezwania nie usunięto takich jego braków, które uniemożliwiają podjęcie nawet czynności wyjaśniających. Załączenie do odwołania kserokopii pełnomocnictwa zamiast jego ory-

padku sąd stwierdził, że brak pieczętki „za zgodność z oryginałem” i podpisu nie stanowi braku tamującego. Niestety, w mojej ocenie, postępowanie w podobnych sytuacjach przez inne sądy będzie zależało jedynie od życzliwości, dobrych chęci. Konserwatywne podejście do zasad postępowania cywilnego pozwala sformułować tezę, że kwestia umocowania osoby składającej odwołanie to element podstawowy. Brak należytego wykazania tego umocowania jest brakiem tamującym, uniemożliwiającym procedowanie w sprawie, stanowiącym przeszkodę do nadania biegu odwołaniu. Wstępne badanie sprawy w tej sytuacji winno prowadzić do wniosku, iż odwołanie ma brak formalny, który nie da się usunąć w trakcie czynności wyjaśniających. W końcu – zgodnie z art. 89 par. 1 zd. 1 k.p.c. – pełnomocnik obowiązany jest przy pierwszej czynności procesowej dołączyć do akt sprawy pełnomocnictwo z podpisem mocodawcy lub wierzytelny odpis pełnomocnictwa. Należy się zgodzić, że w sprawach o roszczeniu z zakresu ubezpieczeń społecznych przewidziany jest odrębny tryb postępowania, mający na celu odformalizowanie procesu i ułatwienie dochodzenia roszczeń. Czy art. 468 k.p.c. i odrębny charakter postępowania stanowi jednak uzasadnienie do złagodzenia wymogu wykazania umocowania, w szczególności w sytuacji, gdy w sprawie stronę zastępuje zawodowy pełnomocnik? To zależy od tego, czy prymat przypiszemy literalnej treści przepisów procedury, czy dodamy do tego element racjonalny. Któryś z prawników kiedyś mądrze powiedział, że „gdyby wszystko było zero-jedynkowe, to sprawy mógłby rozstrzygać dobrze zaprogramowany komputer”.

©

ginału lub uwierzytelnionego odpisu nie jest brakiem tego rodzaju. Zaskarżone zarządzenie o zwrocie odwołania było więc błędne, gdyż ustalenie umocowania fachowego pełnomocnika w sprawie powinno i mogło być usunięte w toku czynności wyjaśniających, których sąd zaniechał.

©

PROSTO ZE STRASBURGA

Gwarancje niezawisłości sędziego w ostatecznym rozrachunku służą podsądnemu



Dominika Bychawska-Siniarska
członek zarządu
Helsińskiej Fundacji
Praw Człowieka

Gospodinow, obywatel Bułgarii, został w 2002 r. zatrzymany w związku z zarzutami handlu narkotykami i skazany przez Sąd Okręgowy w Starej Zagorze na 3,5 roku pozbawienia wolności za posiadanie marihuany. Sąd apelacyjny zmniejszył wyrok do roku pozbawienia wolności, a Sąd Najwyższy zamienił karę na nadzór sądowy. Gospodinow został zwolniony z aresztu w kwietniu 2004 r., po roku i siedmiu miesiącach pozbawienia wolności. Zwrócił się do sądu cywilnego w Sofii z pozwództwem o odszko-

dowanie za niesłuszny areszt. Postępowanie zostało zawieszono do czasu zakończenia przez sąd w Starej Zagorze kolejnej sprawy karnej przeciwko skarżącemu, po czym powództwo zostało oddalone.

W drugim postępowaniu Gospodinow został oskarżony o handel narkotykami. Zwrócił się o przeniesienie sprawy do innego sądu, wskazując, że był on w sporze cywilnym z sądem w Starej Zagorze. Wniosek nie został uwzględniony. Oskarżony został skazany na 16 lat pozbawienia wolności. Od kary odjęto czas pozostawania w areszcie w związku z pierwszą sprawą. Sąd apelacyjny, a następnie SN złagodziły karę do roku i pięciu miesięcy pozbawienia wolności.

Gospodinow zwrócił się do ETPC ze skargą (nr 28417/07) na narusze-

nie art. 6 Konwencji ze względu na brak niezawisłości sądu, który rozpatrywał jego sprawę. W wyroku z 5 kwietnia 2018 r. sędziowie ETPC zauważyli, iż sąd w Starej Zagorze rozpatrywał drugą sprawę karną przeciwko skarżącemu, mimo iż pozostawał z nim w sporze cywilnym co do zasadności tymczasowego aresztu. Sąd w Sofii zawiesił tę sprawę, uznając, że rozstrzygnięcie w sprawie karnej będzie miało decydujący wpływ na zakres ewentualnego odszkodowania. Sędziowie orzekający w kolejnej sprawie karnej mieli więc świadomość, że ich rozstrzygnięcie będzie uwzględnione w sprawie, w której stroną był ich sąd, co w sposób oczywisty rzutowało na ich bezstronność. W razie negatywnego rozstrzygnięcia w sprawie cywilnej koszty

odszkodowania miały być pokryte z budżetu sądu Stara Zagora. Nie wykazano, aby ten fakt miał rzeczywisty wpływ na sędziów rozpatrujących sprawę karną, mógł jednak rzutować na ich niezawisłość. ETPC wskazał też, że zgodnie z prawem krajowym sędziowie mieli obowiązek wyłączenia się z postępowania przy jakiegokolwiek wątpliwości co do ich bezstronności. W prawie przewidziano przy tym, że jeżeli sąd nie może się zebrać w innym składzie, sprawa musi być przekazana do równorzędnego sądu. Skarżący zwrócił się o wyłączenie wszystkich sędziów i przekazanie sprawy do innego sądu. Sąd Stara Zagora nie uzasadnił odmowy przekazania sprawy, nie rozpatrzył również argumentów, które podawały w wątpliwość niezawisłość sędziów.

Sądy wyższych instancji nie naprawiły tych błędów, odmawiając unieważnienia wyroku. ETPC stwierdził naruszenie art. 6 par. 1 Konwencji i przyznał skarżącemu 3,6 tys. euro zadośćuczynienia.

Jak przypomina ten wyrok, dla prawidłowego funkcjonowania zasady niezawisłości sędziowskiej niezbędne są gwarancje. Obowiązująca w Polsce konstytucja ustanowiła wiele takich gwarancji, m.in.: nieusuwalność i nieprzenoszalność sędziów, godne wynagrodzenie, immunitet oraz niezależność od władzy wykonawczej. Podporządkowanie sądownictwa powszechnego władzy wykonawczej, w tym ministrowi sprawiedliwości, powinno rodzić wątpliwości nie tylko konstytucyjne, lecz również na gruncie art. 6 Konwencji.

©

PRENUMERATA:

Cena prenumeraty DZIENNIKA GAZETY PRAWNEJ: Wersja Standard – miesięczna (kwiecień 2018 r.): 114,45 zł; kwiecień–grudzień 2018 r.: 987,00 zł; Wersja Premium – miesięczna (kwiecień 2018 r.): 130,20 zł; kwiecień–grudzień 2018 r.: 1128,00 zł. Wszystkie ceny brutto (zawierają 8 proc. VAT). Więcej informacji na stronie www.gazetaprawna.pl/prenumerata

DZIENNIK GAZETA PRAWNA
prawnik

Redakcja: ul. Okopowa 58/72; 01-042 Warszawa, tel. 22 530 40 40, faks: 22 530 40 39; e-mail: gp@infor.pl ■ Redaktor naczelny: Krzysztof Jedlak
Zastępcy redaktora naczelnego: Barbara Kasprzycka, Dominika Sikora, Marek Tejchman ■ Sekretarze: Łukasz Bąk – szef sekretariatu, Anna Godlewska, Dariusz Koźlenko, Wojciech Łysek, Elżbieta Pietrak, Mira Suchodolska, Urszula Wróblewska ■ Redagują: Ewa Szadkowska, Maciej Weryński ■ Szef działu foto: Krzysztof Cieśliewicz
Centrum reklamy (tel. 22 530 44 44): Dyrektor Centrum Reklamy: Katarzyna Jasińska-Szulc ■ Szef studia DTP: Jacek Obrusiewicz ■ Produkcja: Elżbieta Stalmer, tel. 22 530 42 24

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ® – znak odpłatności; © – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych